

IV. FORMACJA LITURGICZNA

Ks. Edward Staniek

*Czego uczy nas historia sakramentu pokuty i pojednania?*¹

Na temat pokuty w starożytnym Kościele, a nawet w perspektywie historii dwudziestu wieków, zabierałem głos publicznie już kilkakrotnie. Część tych referatów lub konferencji zostało utrwalonych drukiem. Proszę więc nie dziwić się, gdy szereg danych zostanie powtórzonych w tym referacie. Traktuję go jako pewne wydarzenie, wkomponowane w refleksję nad powołaniem, do czego wzywa nas episkopat w zbliżającym się roku kościelnym. Od adwentu bowiem mamy zgłębiać wezwanie świętego Pawła: *Przypatrzcie się, bracia, powołaniu waszemu*.

W Kościele, na przestrzeni dwu tysięcy lat, w szafowaniu sakramentem pokuty można wyróżnić trzy etapy. Pierwszy, starożytny, do wieku VII, który w dużej mierze trwa do dnia dzisiejszego prawie niezmiennie w Kościołach Wschodnich. Drugi, dopracowany w Kościele Łacińskim, a obowiązujący do wieku XIII, i trzeci, praktykowany w Kościele katolickim do naszych czasów. Wiele wskazuje na to, że trwają poszukiwania nowego podejścia do tego sakramentu i być może, jesteśmy już świadkami wchodzenia w czwarty etap.

Najważniejszy jest pierwszy okres, bliski czasom apostołskim, okres Ojców Kościoła, którzy nadal są naszymi nauczycielami jako przedstawiciele żywej tradycji.

W referacie ukazę w aspekcie historii dogmatu tajemnicę sakramentu pokuty i pojednania. Następnie wskażę na aktualność niektórych jej elementów, a wreszcie – mając na uwadze audytorium ludzi konsekrowanych – zasygnalizuję, jak w historii życia pustelniczego i zakonnego podchodzono do tego sakramentu.

Na granicy świętości i dobra

Chcąc wejść w tajemnice sakramentu pokuty i pojednania, trzeba sobie jasno uświadomić, że w świecie wartości, z jakimi jako chrześcijanie mamy do czynienia, istnieją dwie niezwykle ważne granice. Jedna granica, znana wszystkim ludziom na całym świecie, to granica między dobrem i złem. Jest to granica ustawiona w świecie wartości moralnych. Została ona wpisana w ludzką naturę przez sumienie i każdy, kto posiada używanie rozumu, wie, że dobro należy czynić, a zła unikać, i że nie należy czynić drugiemu tego, czego nie chcemy, aby nam czyniono. Jest to więc granica subiektywna, która pojawia się w konkretnej sytuacji, wzywając do podejmowania decyzji.

Ta granica została przypomniana i zobiektywizowana przez Boga na Synaju. *Dekalog* w wymiarze etycznym bardzo jasno kreśli tę granicę. Od czasów Mojżesza posiada ona charakter Prawa Objawionego i stanowi podstawę życia społeczności, która liczy się z Bogiem.

Sąd Ostateczny przedstawiony przez samego Chrystusa, a utrwalony w rozdziale

¹ Referat wygłoszony w czasie sympozjum dla osób konsekrowanych na Jasnej Górze w dniu 11 października 2006 r.

25. Ewangelii według św. Mateusza dotyczy tej właśnie granicy. Na nim sądzone będą wszystkie pokolenia od Adama po ostatniego człowieka, jaki się pocznie na ziemi. Ten właśnie sąd dotyczył będzie tego, co ludzie uczynili dobrego innym, i czego im nie uczynili. Będzie to więc sąd z postawy etycznej. Ci ludzie bowiem nie znają Chrystusa i Jego objawienia.

My jako uczniowie Mistrza z Nazaretu wiemy, że istnieje jeszcze druga granica, jaką wytyczył sam Bóg i to w świecie dobra. Jest to granica między świętością i dobrem. W świecie świętości jest obecny Bóg na zasadzie łaski, a nie natury. Ta Jego obecność polega na objawieniu i uobecnieniu świętości Boga, która w żaden sposób nie jest dostępna dla człowieka, ona zawsze jest darem. Rzecz jasna, ten dar jeśli zostaje udzielony ludziom, to choćby byli moralnie brudni, natychmiast ich oczyszcza i czyni świętymi.

Z naszego punktu widzenia granica między tym, co święte, a tym, co dobre, jest ważniejsza i miliony razy trudniejsza do pokonania, niż granica między tym, co dobre, a tym, co złe. Bo przez granicę wytyczoną w świecie etyki człowiek może w oparciu o własne siły przejść w jedną i drugą stronę, o ile tylko nie popełni zła nieodwracalnego, np. zabójstwo, którego skutków naprawić nie potrafi. Tymczasem przez granicę świętości może człowieka przeprowadzić jedynie Bóg. Ktokolwiek by ją samowolnie naruszył, musi umrzeć. Przypominam słowa Izajasza, gdy zobaczył Świętego Boga: *Biada mi, muszę umrzeć, bo oczy moje oglądały Boga żywego...* Ale Izasz został podprowadzony do tej granicy przez Boga, a On ma prawo wprowadzić w świat świętości, kogo chce. Mojżeszowi powiedział: *Zdejm sandały, bo miejsce, na którym stoisz, jest święte.* Otóż grzech pojawia się na granicy świętości i dobra. Jest on bowiem zawsze dobrowolnym odejściem ze świata świętości.

Żyjemy w pokoleniu, w którym granica między świętością a dobrem została zatarta aż do tego stopnia, że dobro utożsamiono ze świętością. Tak się stało w mentalności ludzi. Niestety również w świadomości wielu kapłanów i osób konsekrowanych. Osobiście uważam to za jedną z największych herezji nie tylko naszych czasów. A skutki jej są widoczne na każdym kroku.

Granice świętości dotyczą miejsca – świątyni, prezbiterium, ołtarz, tabernakulum; czasu – niedziela, dzień święty, obowiązujące uroczystości, post przed Komunią świętą. Wielki Post, czas modlitwy; ludzi – kapłan jako osoba święta, osoby konsekrowane. Nie muszę tłumaczyć, jak bardzo te granice zostały zatarte. Cośmy zrobili z niedzielą? Czy jest to dzień święty? Cośmy zrobili ze świątynią? Sposób zachowania, ubiór, postawa, rozmowy w kaplicy... To temat nowego referatu.

Sami doprowadziliśmy do tego, że ludzie rezygnują z chodzenia do kościoła, ponieważ twierdzą, że oni są dobrzy i nie muszą chodzić. I mają rację. Do kościoła idzie się nie po to, by być dobrym, ale by być świętym. Do Komunii świętej nie przystępuje się w tym celu, by być dobrym, ale by być świętym. Rzecz oczywista, że świętość promieniuje przez dobroć, *tak niech świeci wasza światłość przed ludźmi, by widzieli wasze dobre czyny i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie* (Mt 5,16). Nasza dobroć jest odbłaskiem świętości.

Świat przekonał wielu, że nie muszą być świętymi, że wystarczy, by byli dobrymi. A oni w to uwierzyli. Zapomnieli, że – aby chrześcijanin mógł dostać się do nieba –

czyni pokutę. Zwracam uwagę na te słowa. Nie mówiono: Kto dobry niech przystąpi, ale *kto święty!*

Grzesznik tracił prawo do Komunii świętej. Mógł chodzić na zgromadzenia liturgiczne, mógł słuchać czytań z Ksiąg świętych i kazania, mógł się modlić, mógł śpiewać psalmy i hymny, ale nie mógł podejść do Komunii.

Potrzeba pojednania z braćmi

Co w pierwszych pokoleniach, w których Kościół tworzyli ludzie święci, zaliczano do grzechów, czyli co wykluczało chrześcijanina ze świata świętości? Pytamy o rozumienie grzechu. Zdumiewa nas to, że w pierwszych pokoleniach był to brak pojednania z braćmi. Wszelkie niezgody, nie unormowane aktem przeproszenia brata lub siostry, zamykały bramę do Komunii i do świętości.

Było to naturalne następstwo rozumienia świętości jako zjednoczenia z Bogiem. Ten bowiem postawił warunek: *Jeśli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz – na tym polega uczestniczenie w świętej Eucharystii – i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Potem przyjdź i dar swój ofiaruj* (Mt 5,23-24). Zatem sam Jezus powiedział, że bez pojednania z braćmi nie ma pojednania z Bogiem, czyli nie można mieć udziału w świętości, jeśli brakuje zwykłej miłości bliźniego i nieprzyjaciela. Jeśli serce nie dorasta do miłości brata, to nie ma szans na pojednanie z Bogiem.

I tu dotykam sprawy aktualnej. Zbyt często obecnie ludzie podchodzą do Komunii świętej bez pojednania z drugim człowiekiem. Ma to miejsce i w naszych szeregach, gdy kapłan nie rozmawia z drugim kapłanem, szkodzi mu, psuje mu opinię, niszczy go przy każdej sytuacji, a sam staje przy ołtarzu, by sprawować Eucharystię... Jest to wielkie nieporozumienie. Podobnie jest we wspólnotach zakonnych i w środowiskach ludzi konsekrowanych, które żyją we wzajemnych pretensjach, siostry nie przekazujące sobie znaku pokoju, nie umiejące akceptować drugiej osoby, tłumaczące się tym, że ona jest nieznosna, że z nią się nie da żyć, zabiegające o to, by ją przenieść do innej wspólnoty... a chodzą do Komunii świętej. A trzeba sobie wówczas jasno powiedzieć: To ja nie umiem tej osoby kochać. To prawda, że są takie osoby, z którymi trudno żyć, wnoszące napięcia wszędzie, gdziekolwiek się znajdują... ale przy ołtarzu nie ma usprawiedliwienia. Jeśli nie umiem żyć w miłości z drugim człowiekiem, takim, jakim on jest, choćby najtrudniejszym, to nie mam prawa podchodzić do Komunii świętej. Jest to tym ważniejsze, że takie zachowanie gorszy innych. Otoczenie pyta: Jak wy żyjecie? Ileż powołań zostało zamordowanych przez takie antyświadectwo ludzi konsekrowanych, kapłanów również.

Pierwszym więc aktem pokutnym jest pojednanie z braćmi i siostrami. Serce musi bić przebaczącą miłością, a jeśli nie bije, nie ma w nim świętości i nie ma prawa do Komunii świętej. Jeśli natomiast ktoś mimo to podchodzi do niej, ten nie wie, czym jest Komunia. To jest świętość. *Kto święty, niech przystąpi, a kto nim nie jest, niech czyni pokutę.*

Przebaczenie dawało prawo do Komunii. Nie musiał tego załatwiać kapłan. Wystarczyło, że poróżnieni ze sobą przekazali sobie znak pokoju, pojednali się ze sobą. Nie trzeba się było z tego spowiadać, trzeba było nawiązać zerwane więzy jedności.

Odpowiedzialność za własny grzech i za nawrócenie

W starożytności chrześcijanin sam odpowiadał za swój grzech i za jego naprawę. Znano siedem dróg naprawy grzechu, a tylko w jednej z nich uciekano się do wyznania go przed spowiednikiem. Formy pokuty należały do grzesznika. Pijak musiał na stałe zerwać z piciem, i bez tego nie mógł przystąpić do Komunii świętej. Ten, kto skrzywdził innych, musiał podjąć dzieła pomocy potrzebującym. Jałmużna głodzi wiele grzechów. Takim dziełem pokutnym była pomoc w nawróceniu innego grzesznika. Ważnym wymiarem pokuty był post, często surowy.

Byli jednak ochrzczeni, którzy dopuszczali się grzechów ciężkich. Już św. Paweł wymienia w Liście do Koryntian takie grzechy... Skoro sami wracali do świata, wykluczano ich również ze wspólnoty i to natychmiast. Do tych ciężkich grzechów należało cudzołóstwo, morderstwo i zaparcie się wiary. Były to grzechy publiczne, a więc zawsze związane ze zgorszeniem. One też domagały się publicznej pokuty.

Zabójstwo było karane śmiercią przez prawo państwowe i najczęściej zabójca nie miał czasu na pokutę. Jeśli jednak cudzołożnik lub ten, kto zaparł się wiary, chciałby wrócić do Komunii świętej, czyli do świata świętego, zostawiano mu taką szansę. Musiał jednak udowodnić przez wiele lat, że faktycznie zależy mu na powrocie do Boga i do Komunii świętej. Zaliczano go do pokutujących i obserwowano pilnie jego zachowanie. Mógł uczestniczyć w liturgii eucharystycznej, ale nie mógł przystępować do Komunii. Po określonych przez synody latach, mógł być dopuszczony do niej. Na tym też polegało jego pojednanie z Kościołem i Bogiem.

Nawrócenie należało udowodnić i to w sposób czytelny, taki, że cała społeczność to widziała. Nie było mowy o żadnym rozgrzeszeniu. Jeśli czas pokuty minął, podawano pokutującemu Komunię świętą. To był znak pojednania. W zależności od wielkości grzechu miało to miejsce po trzech, pięciu, piętnastu czy nawet trzydziestu latach! Kościół bowiem żył nawróceniem. Ono było najważniejszym wydarzeniem. A wszyscy dobrze wiedzieli, że jest to dar Boga, a ze strony grzesznika trudny akt.

Nawrócenie należy do najtrudniejszych dzieł, jakie może podjąć człowiek. W Ewangelii jest powiedziane, że w niebie jest większa radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu, którzy nie potrzebują nawrócenia. Ta radość wynika stąd, że Bóg okazuje po raz drugi swe miłosierdzie i tego, kto go zdradził, kto Nim wzgardził, z miłością przygarnia do siebie. Ale też ta radość jest tak duża, ponieważ takie nawrócenia są rzadkością i dowodzą wielkości ducha pokutującego. Aby zrozumieć, jak trudno się nawrócić, wystarczy prześledzić, ile wysiłku trzeba podjąć, by zerwać z nałogiem przeklinania lub oglądania telewizji... Wielu wyznaje, że ich na to nie stać. A przecież jest to niewielkie uzależnienie...

Trzeba do tego dodać, że w starożytnym Kościele uznawano tylko jednorazowe nawrócenie. Jeśliby ktoś zgrzeszył ponownie, nie miał już żadnych szans na dopuszczenie przez Kościół do Komunii świętej. Mógł jedynie liczyć na miłosierdzie Boga, którego w Kościele nie mógł już dostąpić. Nie mógł należeć do Kościoła świętego. Nie przekreślano jego zbawienia, ale też nie zajmowano się takim człowiekiem. Zostawał sam ze swoimi grzechami i ze swoim Bogiem.

Wynikało to stąd, że uważano, iż nie można nawracać się kilka razy. Miłość po

nawróceniu już nie rani tego, którego raz zraniła. Takie postawienie sprawy jest zrozumiałe, gdy dostrzega się, że istota grzechu polega na zniszczeniu zaufania, jakim Bóg nas darzy. Zaufania nie można odbudowywać wiele razy, bo jest to dowód na brak nawrócenia za pierwszym razem. Nawrócić się można jeden raz, i to winno mieć miejsce w chrzcie. Bóg w Kościele, dla nielicznych, otworzył jeszcze szansę ponownego nawrócenia, ale tylko jeden jedyny raz. Tak uważano przez sześć wieków.

Jakość czy ilość?

W dziejach Kościoła nieustannie zmagają się dwie tendencje. Jedna, która koniecznie chce kłaść nacisk na ilość. Zwolennikom tej koncepcji wydaje się, że należy wszystkich ochrzcić, bo tylko tak zostaną zbawieni. Drudzy uważają, że Kościół to przede wszystkim światłość dla świata i sól ziemi. I Bogu nie chodzi o to, by wszystkich ochrzcić, bo wówczas chrzest byłby ustanowiony zaraz po opuszczeniu raju, ani o to, by wszystkich zamienić w wyborną sól. Nie, Kościół ma być dla miliardów ludzi światłem i solą. A w tej koncepcji należy przede wszystkim zabiegać o jakość życia, o świętość Kościoła.

Pierwsi nieustannie walczą o to, by drzwi nawrócenia były otwarte dla wszystkich i by nawet sto razy mogli przez nie wracać. Drudzy uważają, że te drzwi zostają uchylone jedynie dla tych, którzy rzeczywiście z całego serca żałują i wracają do Boga, by Go już nigdy nie opuścić. A jeśli popełniają kolejne grzechy, to dowód na to, że nawrócenia nie było, że się im tylko zdawało, że okłamują siebie, Boga i innych...

Jest dobrze, gdy jedna i druga tendencja w Kościele jest równie mocna, bo w napięciu między nimi otwiera się droga, na której nikt nie lekceważy grzechu i nikt przed tym, kto upadł, nie zamyka drzwi raz na zawsze. Tak też na przestrzeni wieków usiłowano ustawić podejście do sakramentu pokuty i pojednania.

Już od czwartego wieku zwyciężała coraz bardziej, zwłaszcza na Zachodzie, koncepcja ilości, stąd doszło do tego, że w Kościele było bardzo dużo pokutników, a niewielu spełniało warunki potrzebne do przystępowania do Komunii świętej. Ponieważ domagano się jednak, by przynajmniej w wielkie święta wszyscy ochrzczeni przystąpili do Komunii, zdecydowano się na możliwość odprawiania pokuty po przyjęciu Komunii świętej. Tak wprowadzono rozgrzeszenie, którego udzielano pokutującym, wyznaczając im dzieła pokutne z możliwością przystępowania do Komunii świętej. Było to brzemienne w skutki przestawienie. Nie czekano na dowód nawrócenia, a dopuszczano wiernych do Komunii. Wszystko zamykało się w rozgrzeszeniu, a nie w nawróceniu.

Księgi pokutne

Aby to ująć w pewne ramy, przygotowano *Księgi pokutne*, w których określono wielkość pokuty za różne przewinienia, zarówno za grzechy ciężkie jak i lekkie. Ta pokuta była określona w liczbach dni, a nawet lat. Spowiednik miał taką Księgę i według niej obliczał wielkość pokuty. Penitent po rozgrzeszeniu mógł iść do Komunii świętej, ale był zobowiązany wykonać pokutę... Ten zwyczaj w Kościele

Zachodnim trwał aż do XII wieku. W czasach świętego Franciszka stopniowo rezygnowano z *Ksiąg pokutnych* i zostawiano określenie jej wielkości w rękach spowiednika. Ten zwyczaj dotrwał do dnia dzisiejszego.

Słabością *Ksiąg pokutnych* było to, że często wielkość pokuty obliczona na lata, stawiała się nie do wykonania, ponieważ z wykazu wynikało, że grzesznik miał pokutować przez dwieście lat, a żył na ziemi jeszcze dwa tygodnie, a czasami tylko dwie godziny...

To doprowadziło do doskonalenia nauki o czyśccu, miejscu pokuty, której nie zdążył grzesznik odprawić na ziemi. Drugim nurtem było rozbudowywanie nauki o odpustach, które skracaly czas pokuty. Obok *Ksiąg pokutnych* pojawiły się *Wykazy odpustów*... Dobrymi czynami można było skracać czas pokuty. Jak zawsze buchalteria otwara drzwi do wielu nadużyć, co odsłonił Luter ostro atakując odpusty. Kościół musiał podjąć wysiłek, by wypełnić miłością zarówno podejście do pokuty, jak i do odpustów.

Zapomniane nawrócenie

W dopuszczeniu wiernych do Komunii świętej bez udowodnienia przez nich nawrócenia kryło się poważne niebezpieczeństwo. Zgubiono z pola widzenia nawrócenie, które jest sercem Ewangelii. Pokutę potraktowano jako karę, a nawrócenie nie jest karą, jest wielkim aktem miłości Boga przebaczącego. To zostało zagubione i w wielkiej mierze jest zagubione jeszcze dzisiaj.

Mimo usilnych starań Kościoła po Soborze Watykańskim II nie udało się wprowadzić naszego pokolenia na drogę nawrócenia. Nie udało się odsłonić piękna i bogactwa zawartego w akcie nawrócenia, który tak przejmująco ukazał sam Jezus w przypowieści o synu marnotrawnym. Spotkanie z Ojcem było dla niego nieopisanym szczęściem. Syn dostał po raz drugi wszystko, co stracił. Ale ktokolwiek czyta tę przypowieść, wie, że ten syn już na pewno nie opuści domu Ojca, bo odkrył ten wymiar Jego miłości, której nie znał jego starszy brat. On przeżył to, co owa kobieta lekkich obyczajów, obmywająca łzami nogi Jezusowi. O niej to bowiem Chrystus powiedział: *Odpuszczają się jej liczne grzechy, bo wielce umiowała. A ten, komu mało się odpuszcza, mało miłuje* (Łk 7, 46).

Życie pustelnicze i monastyczne

Jak podchodzili do sakramentu pokuty i pojednania w starożytności ludzie powołani do życia pustelniczego lub zakonnego? Samo to powołanie było rozumiane jako wezwanie do życia w świecie świętości otrzymanej na chrzcie świętym. Było to możliwe przez wejście na drogę nieustannego nawrócenia, co jest wpisane w naśladowanie Jezusa. Decyzja więc odpowiedzi na powołanie była rozumiana jako gotowość do ukazania i obrony granicy między świętością a dobrem. Powołanie bowiem zawsze ustawia człowieka na świeczniku, aby świecił wielu. Ma to miejsce nawet wówczas, gdy jest to wezwanie do ścisłej klauzury.

W takim ujęciu decyzje zawarte w tym, co my dziś nazywamy ślubami, miały na uwadze nawrócenie i świętość. Posłuszeństwo Bogu polegało na oddaniu siebie do Jego dyspozycji z gotowością rezygnowania z własnej woli, a to zawsze jest aktem nawrócenia.

Ubóstwo rozumiano jako troskę o wolność, by być do dyspozycji Boga i nie zatrzymywać się na tym, co drugoplanowe. Do szczęścia na ziemi trzeba niewiele i nie na długo. Wolność jest konieczna do tego, by zawsze być do dyspozycji Boga. A pełnienie Jego woli jest najważniejsze, jest drogą uświęcania siebie.

Podobnie czysta miłość była rozumiana jako troska o ewangeliczną oliwę w lampie, która winna nieustannie płonąć świętością, czyli miłością Boga i ludzi. Jakakolwiek kropla wody w tej oliwie – czyli cokolwiek, co nie należy do Boga – sprawia, że płomyk tej lampy skwierczy i przygasa.

Czy w tak rozumianej koncepcji życia według powołania potrzebny był sakrament pokuty? Tak, ale rzadko. Ten, kto zgrzeszył albo rezygnował z drogi powołania, albo podejmował pokutę, trwającą najczęściej do końca życia. Powołanie do świętości łączył z nieustannym wynagradzaniem Bogu. Grzech stawał się wezwaniem do dziękczynienia za miłosierdzie Boga i troski o to, by mieć w tym miłosierdziu udział.

Pierwsi pustelnicy nawet nie zabiegali o Eucharystię. Najważniejsza dla nich była jedność ich woli z wolą Boga. Rozeznawali ją na modlitwie i czytaniu Pisma Świętego. Kościół jednak dość szybko dotarł do pustelników z Eucharystią, by nie zginęli w subiektywizmie i mieli możliwość wypełniania serca świętością ołtarza. Nawet praktykowano zabieranie Eucharystii do swej pustelni, by mogli każdego dnia komunikować.

Natomiast niezwykle ważnym w ich życiu był mistrz, kierownik duchowy, który rzadko kiedy był kapłanem, ale zawsze był wielkim ekspertem w zakresie życia duchowego. Bez mistrza nie wolno wchodzić na drogę powołania. Jest to bowiem droga trudna i bardzo niebezpieczna.

Przypominał o tym Benedykt XVI kapłanom zgromadzonym w katedrze warszawskiej. To wołanie dotyczy nie tylko kapłanów. Odpowiedzialność za mianowanie mistrzyń i mistrzów w zakonach oraz ojców duchownych w seminariach należy do najtrudniejszych i najważniejszych decyzji przełożonych.

Istotne jednak jest osobiste poszukiwanie mistrza, może to być starsza siostra, może być człowiek świecki, może być kapłan, brat zakonny... Życie na drodze powołania wygrywają jedynie ci, którzy takich mistrzów znaleźli. Inni się gubią. Można powiedzieć, że jeśli powołany człowiek nie szuka mistrza, to nie jest w stanie zrealizować swego powołania: ani kapłańskiego, ani zakonnego, ani osoby konsekrowanej.

Mówię o tym, ponieważ jesteśmy dziś świadkami prób realizacji powołań w oparciu o ideę samowystarczalności, czyli źle rozumianą wolność. Mistrz jest zagrożeniem dla młodego człowieka. Dlatego on go nie tylko nie szuka, ale odrzuca. Nic więc dziwnego, że często porzuca wybraną drogę. Powołanie realizujemy na zasadzie wtajemniczenia. A to bez mistrza jest niemożliwe. Człowiek potrzebuje mistrza tak długo, jak długo sam się mistrzem nie stanie. Bywa, że potrzebuje go do końca życia.

Wnioski

Wracam do pytań o aktualność wskazań zawartych w historii sakramentu pokuty i pojednania.

1. Nic nie jest warte rozgrzeszenia, jeśli nie ma nawrócenia. Może ono nawet obciążać człowieka, który podchodzi do łaski, a jej nie przyjmuje. W sakramencie

pokuty zawsze najważniejsze było, jest i będzie nawrócenie.

2. W podejściu do sakramentu pokuty aktualne jest wezwanie do życia w świecie świętości, czyli życie Bogiem, a nie sobą. Jeśli Bóg jest w nas, to Jego obecność promieniuje świętością we wszystkich naszych czynach, które są zgodne z Jego wolą. Tak dokonuje się uświęcanie dobra, jakie jest w naszych rękach, i uświęcanie naszego życia.

Jeśli brakuje w nas świętości Boga, czyny nasze są na naszą miarę, a nie na miarę Boga. Świętość jest zawsze na miarę Boga, a nie człowieka. Ona stawia wymagania, którym nikt bez łaski nie jest w stanie sprostać. Inaczej jest z dobrem. Ono jest na naszą miarę i wystarczy chcieć, a można być dobrym człowiekiem.

Trzeba wrócić do granicy między tym, co dobre, i tym, co święte, a nie tylko dreptać wokół granicy dobra i zła na zasadzie etycznego minimalizmu, zawartego w pytaniu: Czy jeszcze mi wolno, czy już nie wolno? Czy to już grzech ciężki, czy jeszcze lekki?

3. Sercem Ewangelii jest nawrócenie nie tylko moralne, ale i religijne, które obejmuje całe nasze życie, aż do ostatniego uderzenia serca. Jego sprężyną jest pragnienie bycia blisko Boga. Dokonuje się to w przeżyciu miłości, jaką On przelewa w nasze serca, a my przelewamy ją w serca tych, do których jesteśmy posłani.

4. Sakramentu pokuty nie wolno traktować jako automatycznej pralki, w której wielokrotnie przywracamy biel zbrudzonym ubraniom. To jest zawsze spotkanie z kochającym Ojcem, który jest gotów przebaczyć nasze błędy, o ile tylko dostrzeże w nas autentyczne nawrócenie. Zależy Mu bowiem na naszym szczęściu. Biada jednak temu, kto je sprzedaje za miskę soczewicy, a jeszcze bardziej biada temu, kto czyni to wielokrotnie. Znak to, że miska soczewicy jest dla niego większą wartością niż sam Bóg.

Odkrycie daru świętości otrzymanego na chrzcie świętym i głęboka wiara w to, że jestem konsekrowany czyli święty, stanowi punkt wyjścia nie tylko do właściwego spojrzenia na chrześcijańskie powołanie, ale i na nawrócenie, które zgodnie z Ewangelią zawsze jest wielkim świętem ludzi ducha na ziemi i aniołów w niebie. Nawrócenie to radość odzyskania utraconego szczęścia wiecznego, utraconego zaufania i miłości Boga. Czy może być większe szczęście? Sakrament pokuty i pojednania daje Bożą pewność, że to szczęście znów posiadam!

Powtarzam, jesteśmy potrzebni Bogu nie do tego, by pomnażać dobro na ziemi, bo to potrafi czynić każdy człowiek dobrej woli i wcale nie musi być konsekrowany, nawet nie musi być ochrzczony! Jako ludzie powołani jesteśmy potrzebni Bogu do czytelnego kreślenia granicy między dobrem i świętością. Mamy być światłością dla świata objawiającą szczęście ludzi żyjących w świecie miłości Boga. To objawienie może mieć miejsce zarówno wówczas, gdy trwamy w świętości, jak i wówczas, gdy się nawracamy do niej.